



Wanda Truska

Sygnatura notacji: **N0607**

Data nagrania: **23.05.2009 r.**

Miejsce nagrania: **Konsulat Generalny RP, Toronto, Kanada**

Prowadząca/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **54 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wanda Truska: Ja się urodziłam na osadzie wojskowej, która się nazywa Wołczek. To już było na Wołyniu, już niedaleko od rzeki Bug. I tam na tej osadzie było tylko sześciu osadników. Tak że wszyscy się znali bardzo dobrze, a dookoła to były prywatne domy i większość Ukraińców, bardzo dużo Ukraińców na Wołyniu było. I nawet w tej okolicy. Tak że ci osadnicy prosperowali dobrze, bo to był czarnoziem i oczywiście kooperatywa we Włodzimierzu pomagała im. Czy w zakupach, czy w poradach, czy na żniwa, czy w ogóle, bo choć większość z tych żołnierzy, to nie miała praktyki. Byli młodymi, nie mieli praktyki na osadach. W każdym razie bardzo dobrze prosperowało i taka grupa przyjaciół się zrobiła z tych osadników. I potem słyszeliśmy, ale oczywiście mój ojciec był jeszcze w rezerwie i jak się dowiedzieli, że wojna będzie, oczywiście on dostał... Jak myśmy się dowiedzieli, że dostał pozwanie do wojska i musi nas zostawić, i oczywiście zostawił nas, mamusię i czworo nas, pięcioro dzieci było. Siostrzyczka się urodziła. I ojciec, jak odjechał z domu, a on był w kawalerii, to jeszcze swojego konia z pierwszej wojny światowej miał, z którym się nie rozłączał. Mi się zdaje, że on był bardziej przywiązany do tego konia niż do nas. I myśmy właśnie, jak wojsko przychodziło, obok rzeki Bug był tak zwany trakt, nazywali to, droga taka i już wycementowana, czyli szeroka dość droga i to wojsko rosyjskie przychodziło, a myśmy właśnie chowali się za drzewa i patrzyliśmy. Była bardzo sroga dyscyplina naprawdę w tym wojsku. Tak jak pierwsze te armaty duże, potem wojsko na koniach, aż na końcu to to szabrawe wojsko, co oni z Kazachstanu pochodzili czy z jakichś innych grup. Nawet nie wyglądali na żołnierzy. I myśmy się właśnie tak przyglądali temu, jak przeszli, ale jak przeszli, to w stronę Włodzimierza. Dokąd poszli, to ja już nie wiem, bo już nie pamiętam. I potem jak mój ojciec wrócił, była taka raczej pustka, jak mój ojciec wrócił z wojny, to było przed świętami, a 10 lutego już przyjechali Rosjanie i zabrali NKWD. „Wstawaj - o 4:00 z rana - ubieraj się, zabieraj ze sobą, co możesz” i wywieźli nas. Wieźli nas do stacji w którymś... To nie było we Włodzimie-

rzu, tylko w jakimś innym miasteczku. I prawie wszystkich ludzi z okolicy. I ledwie nas zabrali z domu, mamusia zabrała tylko te rzeczy, co mogła, bo ojciec stał pod ścianką i stryłok, przy nim. Na saniach nas wieźli. 10 lutego, prawie pomarziśmy po drodze, ale zawieźli do tego miasta i załadowali do wagonów, i oczywiście stamtąd jechaliśmy ponad trzy tygodnie w tych towarowych wagonach. Prawie jakieś 45 osób w jednym wagonie. I oczywiście jedzenie nam przynosili, chleb zdaje się do wagonów raz na dzień i gorącą wodę. Bo oni mają zwyczaj, kąpiatok na każdej stacji jest wolny, to właśnie i tak przez, jak przyjechaliśmy polską granicę, to wtedy już nas tak bardzo nie pilnowali, bo nie mieliśmy gdzie uciekać. I jak dużo ludzi chorowało czy jak ktoś umarł, bo już pamiętam, że dużo umierało, to stryłok przychodził do wagonów, jak pociąg stanął i zabierali tych chorych czy zabierali tych i wyrzucali na śnieg. A tam dookoła nic nie było, tylko lasy. Potem jak mówiłam, zatrzymywali się tylko raz na dzień na chleb i kąpiatok nam dawali. Tak dojechaliśmy już do Świdłoska, obłóci jelubickiej, rejon 109 i kwartał i stamtąd, tam właśnie pociąg dochodził tylko do jakiejś wioseczki czy kołchozu i pociąg się zatrzymał. To wtedy załadowali nas na sanki ciągnięte przez konie i jechaliśmy znowu prawie całą noc, i pół dnia do tego obozu 109 i kwartał. Jak to wyglądało, był na środku olbrzymi budynek i w tym budynku był piec tylko i jeden budynek. Tam nas chyba było wiele, wiele, tysiąc. I kobiety z małymi dziećmi były w środku, a mężczyźni z miejsca, jak wyładowali nas, mężczyźni z miejsca zabrali się do pracy, do budowania, stawiania tych baraków. Tak że jak co ileś godzin się zmieniali, ci mężczyźni przychodzili, żeby się zagrzać, a inni wychodzili i pracować, to tak chyba z trzy tygodnie pracowali, aż te baraki postavili. A baraki były dość wygodne, dość długie, drewniane, sosen było pełno, więc sosny i takim mchem były te dziury pozatykane. Problem z tym mchami był, że tam bardzo dużo pluskwów było. I jak to wyglądało? To był jeden długi barak, ale podzielony na mieszkania. Jeden duży pokój i taki piec z kamienia czy z czegoś, ale był jeden piec. I to wszystko, i drzwi do korytarza. I tak nas poumieszczali dość dużo. Łazienki wybudowali i potem taką kuchnię dużą. Jak stołówka się nazywała, czy... Duża, duża kuchnia i tam Rosjanki pracowały. Oczywiście na tym obozie była też gorąca stimbada, to ja nie wiem, bania nazywali. I tam właśnie obsługa rosyjska przy tym była, przy grzaniu wody. Tak że to ciekawie było urządzone. Mężczyźni sześć dni w tygodniu, sześć i pół dnia, bo w sobotę pracowali pół dnia, niedziela była wolna. Tak że mężczyźni pracowali przy lesie, przy rąbaniu lasu. Młodzi ludzie pracowali przy ścinaniu tych gałęzi z drzew, a te dzieci, które nie miały 14 lat, to chodziły do szkoły. Ja nie miałam 14 lat i chodziłam do szkoły rosyjskiej. Bardzo ładnie tę szkołę wybudowali. Podłogi były z drzewa, takie piece do ogrzewania. Ja lubiłam iść do szkoły, bo tam mi było cieplej niż w tym swoim mieszkaniu. I nauczycielki Rosjanki bardzo, bardzo przyjemne. Tam urządzali w tym obozie koncerty i wiersze. Wszyscy musieliśmy występować na scenie i chór był. Też to młode dzieci, ale rodzice to tak pracowali od rana, nie wiem, 14 czy 16 godzin. Bardzo długo. Jedzenie dostawaliśmy właśnie z tej kawiarni czy stołówki. Z tej stołówki. I chleb można było sobie kupić. Oczywiście na początku było trudniej, bo nikt nie miał pieniędzy, ale później jak ludzie pracowali, dostawali, zdaje się, pieniądze, kto był stachanowcem, bo liczyli ile kto wyrobi na dzień. Jak ktoś nie wyrobi, to niezapłacone, nie dostanie chleba. I na przykład jedna rodzina miała czterech synów i już wszystkich ponad 14 lat, to im bardzo dobrze, bo oni wszyscy stachanowcy, bo młodzi, energiczni i lubili robić, to im było bardzo dobrze, dużo pieniędzy zarabiali. Dla nas to było trochę... Ojciec jeden pracuje, matka miała... Siostrzyczka moja miała wtedy niecały rok jeszcze, to mama musiała być w domu, to oczywiście żyliśmy z tego, co ojciec zarobił i moja siostra najstarsza już pracowała. To z tego, co oni zarobili. Pamiętam, na święta, to mieliśmy dość dużo wolności w tym obozie, bo nawet kaplicę w ogrodzie pozwolili nam robić i przez zimę to nikt nie wychodził tam za bardzo, ale na wiosnę i w lecie, to takie modlitwy wieczorowe odbywały się czy jakieś majówki tam śpiewali. Tak że tam było trochę wolności. Nie miał gdzie kto uciekać, bo w tej części w zimie,

to były zamrożone wszystko, a w lecie to tylko dwie stopy odmroziło się tego permafrost i błota były. Tak że ktokolwiek próbował uciec z obozu, to doszedł kilka kilometrów, albo wrócił, albo się utopił. Takie nie było... i Rosjanie się wcale nie martwili, że tam ktoś się topi. Ale im oczywiście bardzo na tym zależało, żeby tę normę wyrobić, żeby tyle i tyle drzewa wyciąć. Tak, że nacisk był na to. Jeżeli nie było, nie mieli do wywózki, była wąskotorówka, wtedy już wybudowali i na te pociągi ładowali, młodszy ludzie też ładowali to drzewo na te pociągi. I jak na przykład podczas tygodnia nie wyrobili tej normy, to musieli w niedzielę iść do pracy i nadrobić to wszystko. Tak że nacisk był. I właśnie pamiętam takiego komendanta, on się Zwiedzow nazywał. Zwiedzow. To on przychodził, krzyczał, przeklinał, ale potem jak wszyscy inni pracownicy. Tak że oni się nie mścili nad nami, bo im zależało na tym, żeby jak najwięcej wyrobić. I później przyszło właśnie to zawiadomienie, że zwolnią nas. I to było ciekawe, bo niektórzy ludzie, jak ci Prachowie, oni dobrze zarabiali, oni nie chcieli wyjeżdżać tam gdzieś nie wiadomo gdzie, na południe czy do wojska. No, ale musieliśmy opuścić cały obóz i jak to wyglądało? Zawieźli nas, już wtedy była ta wąskotorówka, to już nie musieliśmy jechać sankami, zawieźli nas do najbliższego kołchozu. I tam czekaliśmy na... Przygotowaliśmy się na... Bo musieliśmy suchary sobie zrobić na podróż, na daleką podróż. Mówili, że daleko na południe. Czekaliśmy na dokumenty, które miały przyjść ze Świedłoska, że jesteśmy wolni i że możemy korzystać z pociągów. I tam różne inne rzeczy. Więc jak to wyglądało tam na kołchozie, mieszkaliśmy w jednym budynku z Rosjanami i mieliśmy też swój jeden pokój. Spaliśmy na podłodze i oczywiście kuchenka była mała, to mój ojciec pracował, siostra w kołchozie, siostra pracowała i mój starszy brat pracowali w kołchozie. Siostra miała bardzo dobrą pozycję w tym kołchozie. Bo ona, i to było w jesieni już, już jak woziła kartofle z kołchozu do spichlerza i jeździła taką drogą pod mostem, obok rzeki, suchej rzeki z brzegu, tak do tego spichlerza i po drodze, jak przejeżdżała, to tak trochę kartofli zrzuci, a myśmy siedzieli gdzieś przy wodzie za krzakami i zbieraliśmy te kartofle. A potem oni dawali nam ileś tam jedzenia. Kołchoz nam przyznał. Druga rzecz, mój ojciec czasami w nocy o północy wstał, szedł na pole i tam grochu zawsze nakradł trochę. Ale dalej dawali nam chleb. Chleb to musiał kupować sam. I ten chleb kroiliśmy na kromki i suszyliśmy, żeby mieć ze sobą coś do jedzenia, żeby z głodu nie umrzeć. I tak właśnie czekaliśmy na pociąg. Później dostaliśmy zawiadomienie, że przyjedzie pociąg. Przyjedzie tam gdzieś i to nie było w Świedłosku, w jakiejś innej miejscowości. Tak że z kołchozu zawieźli nas tam do pociągu. I to był olbrzymi pociąg taki, też towarowy. Moim obowiązkiem było nieść jedną torbę, worek z sucharami. Właśnie tam się załadowaliśmy i jechaliśmy na południe. Podróż była prawie taka sama, jak do Rosji. Z tym, że już tyle ludzi tak jakoś nie umierało i już się przygotowali, czyli ci słabsi już odeszli, a ci silniejsi, przejeżdżaliśmy przez Kujbyszew, Świedłosk, przez Kujbyszew, przez jakieś inne miejscowości. Ja pamiętam, w Kujbyszewie wyrzucili nas z jednego pociągu. Na peronie kilka dni czekaliśmy aż nasz następny pociąg przyjedzie. I te tysiące tych ludzi, setki, bo ja nie wiem ile, setki tych ludzi, wszystko na peronie spało i co dawali nam? Kipiatok i chleb z chlebem był. To dzięki Bogu, dlatego przeżyliśmy, bo bez tego suchary już swoje dawno zjedliśmy. I bez tego właśnie wykarmienia, to byśmy nie mogli. I jak mieliśmy przepustkę, to dawali nam ten chleb za darmo. I kipiatok zawsze był. Potem dojechaliśmy do ostatniego miejsca. To była Samarkanda. W Samarkandzie też wyrzucili nas wszystkich z pociągu na taki plac olbrzymi przed jakąś muzułmańską świątynią, która była pusta. I wtedy już się zaczynała jesień, i to było źle, bo było zimno, ale spaliśmy wszyscy na otwartym powietrzu i utrzymywał nas Czerwony Krzyż. Bo był taki dom z okienkiem takim małym i tam właśnie Czerwony Krzyż dawał chleb i co tam jeszcze? Jakieś inne rzeczy. Ale jak to robili, ponieważ tyle ludzi, żeby nie było oszustwa, to każdy osobiście musiał. I małe, i duże dzieci musieliśmy w kolejce stać, żeby ten chleb dostać. Problem z tym, że ludzie bardzo wycieńczeni. I wtedy najwięcej śmierci widziałam. Bo tak, stoi ta cała kolejka od rana do wieczora. Ledwie się skończy śniadanie, to już

na popołudnie czekają, czy na kolację. Zdaje się dwa razy tylko dawali. I tak jak ludzie stoją na przykład w tej kolejce i komuś się niedobrze zrobi, i upadnie. Często widziałam, potrząsę się tak trochę i już umrze. I nikt z kolejki, rodzina, nikt nie opuścił swojej kolejki, żeby pomóc temu człowiekowi, bo gdyby opuścił kolejkę, to już go nie wpuszczają tam z powrotem. Tak że właśnie to było naj... I tak co jakiś czas ci stryjkowie przychodzili, brali te trupy i rzucali na werandę w tym domu Czerwonego Krzyża. I jak ja pamiętam, to tak do wieczora, to coraz więcej, coraz więcej tych trupów, jeden na drugim leży i przyjeżdżała, i wieczorem przyjeżdżał taki duży samochód wojskowy i brali te trupy, i wrzucali na ten samochód, i wywozili. Tak myśmy mieszkali chyba dwa tygodnie czy coś. I aż wtedy zorganizowali takich, na tych lokalnych posesjach zorganizowali, zabierali ludzi do pracy, bo to już żniwa przychodziły. To arbammi przyjeżdżali ci Uzbegy. Tylko nie pamiętam, czy to był osioł, czy wół, który te arby ciągnął. I zabierali nas na kołchozy i myśmy tak do jednego kołchozu trafili, to tam ojciec pracował jeszcze, bo jeszcze nie opuścił nas i myśmy pomagali bawełnę zbierać. I tam patrzyliśmy na to lokalne życie, a mieszkaliśmy... Też tam było już gorąco, to był taki z gliny wybudowany taki domek, okien nie było, ale były otwory i drzwi, i takie, jak się mówi, jakby ławy takie wzdłuż ściany i na tym spali, i piec, i kuchenka była też taka. Światła nie było, tylko musieli albo naftę, albo świecę. I myśmy tak właśnie w tym kołchozie tak robili, aż się skończyły żniwa. I jak tam robiliśmy, to dawali nam jedzenie, chleb, groch. I tam był specjalny rodzaj grochu, dżugara się nazywał. Może pani słyszała o tym. Dżugara. To jest specjalny gatunek, taki drobny, to wygląda jak groch, tylko, że to nie był groch. Ale to było jak dla nas kartofle, to tam właśnie tym głównym pokarmem była ta dżugara. I właśnie później, już pod koniec tych żniw, ojciec musiał opuścić nas i pojechał do Kiermene do wojska. I niby miało tak być załatwione, że kilka dni później, jak on już tam zajędzie, on powie, gdzie rodzina jest i my tam pojedziemy. Co się stało, że on jak pojechał do Kiermene, do tego punktu, to zachorował na tyfus i leżał przez sześć miesięcy, i nie mógł nikogo zawiadomić, gdzie my jesteśmy. A wie pani, tym to nawet nikt się nie martwił, gdzie on ma rodzinę, skąd, bo tyle kłopotów innych było. Tak że myśmy tam już siedzieli i czekali na to wezwanie, żeby jechać za nim. Tego nie dostaliśmy i mamusia w desperacji poszła do Samarkandy znowu do placówki, tam już sierociniec się zakładał. I ona tak, moja siostra starsza już była tak chora, że już nawet nie wstawała z łóżka. Zapisała mojego brata starszego, dodała mu kilka lat i do junaków go zapisała. A mojego najmłodszego brata zabrała do sierocińca i dzień czy drugi dzień po nim, mnie do sierocińca. I to sierociniec był właśnie w tej olbrzymiej świątyni. Jak to się nazywa po muzułmańsku?

Zofia Kunert: Meczec.

Wanda Truska: W meczecie, tak. Taka olbrzymia sala, nie była używana. Tam zawsze stróż siedział, ale część z tego już było wybudowane jako sypialnia i stołówka, i kuchnia dla dzieci, które zbierali, tak że jak ja tam poszłam, to już było chyba z 12 dzieci w tym. I ja tak siedzę, bo kwarantannę, kazali mi siedzieć w tym pustym meczecie. Dali mi taki koc czy coś. Jedzenie to tak z daleka, żebym żadnej zarazy nie przyniosła. I ja tak siedzę, i płaczę, i patrzę, że tam dzieci się... Pięknie światło świeci, poubierane w takie ładne białe koszulki i wszystko wesoło, a ja tutaj taką sierotą, nikt mnie nie chce. I to uczucie często mi wraca, że... Ja tam przesiadywałam chyba sama przez prawie tydzień, aż zobaczyli, że ja nie zachorowałam i ten stary Uzbek, stróż przy mnie siedział. Jak tak patrzyłam na niego, on też z daleka ode mnie, bo nie chciał. Tak patrzyłam na niego, a on na mnie, się doskonale rozumieliśmy. On się tak samo czuł jak ja. Ale wtedy jak już mnie wzięli, to wanna taka starodawna, balia czy coś, tam gorąco było. Wykąpali mnie, wydezynfekowali, włosy ścięli, dali takie jasne ubranka i to było dla mnie, to ja się czułam jak anioł wtedy, czysta.

I stamtąd właśnie, z tej Samarkandy to tak zbierali te dzieci i raz na tydzień przyjeżdżały wojskowe samochody, i zabierali te dzieci do innych. To stamtąd, z Samarkandy, to myśmy pojechali do Aszchabadu. W Aszchabadzie było bardzo dobrze, dlatego, że to była, zdaje się placówka dyplomatyczna przedtem i ogrody olbrzymie, i tam właśnie co było ciekawe w tych placówkach, w tych miejscach, że zawsze znajdzie się opieka i szkoły. I opieka medyczna. Tak że dla dzieci, dla nas to ja, już jak się wydostałam z Syberii, to tak bardzo nie cierpiałam ani głodu, ani brudu, ani choroby, dlatego, że mieliśmy bardzo, bardzo dobrą opiekę. I z Aszchabadu pojechaliśmy do Meszhedu. Z Meszhedu do Quetty. Quetta to jest zdaje się Kabul teraz w Afganistanie. A z Quetty do Jamnagaru na tym półwyspie. I nie wiem, czy pani tę historię zna, dlaczego ten szach taki dobry był dla Polaków. Bo ten szach Dżam sahib miał siedzibę letniskową w Szwajcarii obok Paderewskiego, czy to jego ojciec. Obok Paderewskiego. A Paderewski miał hobby, on hodował jakieś nie kuropatwy, tylko jakieś kurki takie ciekawe. Zapomniałam, jak one się nazywają. Wie pani, że na starość to nie pamiętam wszystkiego.

Zofia Kunert: Może zielononózki.

Wanda Truska: Nie, one miały takie kropki na sobie. To były rzadkie, ja wiem, że to gdzieś na Polesiu.

Zofia Kunert: Dropie?

Wanda Truska: Może tak, coś...

Zofia Kunert: Takie ptaszki po prostu.

Wanda Truska: Tak, tak, tak. To właśnie było Paderewskiego takie hobby. I ten szach też się zainteresował, i zrobiło się, nawiązała się taka przyjaźń między nimi. I jak właśnie ten Szach, nie wiem, czy on miał dużo do wyboru, bo ostatecznie wtedy jeszcze Anglicy byli w Anglii, ale on ofiarował swoją starą rezydencję jako sierociniec i to było właśnie w Jamnagarze. Balachadi się nazywał. To był olbrzymi dom taki kamienny i to był jego stary dom. W tym domu mieszkała rodzina hinduska. Nigdy nie zapomnę, jak oni zęby czyścili. Wstawał z rana, tam drzewa rosły, bo to wszystko twarde. Zrywał kawałek gałęzi, tak odciął i tak sobie zęby czyścił. Ja właśnie tego nie zapomnę. Tak że stamtąd... Z miejsca szkołę założyli. Trudno było założyć szkołę, bo te dzieciaki w pieluszkach niektóre były, a niektóre już szkołę skończyły, prawie szóstą klasę, ale jakoś dali sobie radę. Tak że namiotów nam nie budowali, tylko budowali takie z trzciny takie budynki, gdzie spaliśmy, do szkoły tam chodziliśmy, do tego pałacu, a obok tego, zaraz nad wodą, to był letniskowy ten nowoczesny dom tego maharadży. I to było fantastyczne miejsce, bo pływać się nauczyliśmy tam, opieka była bardzo dobra i lekarska, i szkoły. Tam był właśnie z nami ten ksiądz Pluta. On tutaj jest pochowany na Long Branch. Słyszałaś o księdzu Plucie. Tak, ksiądz Pluta. On tutaj przyjechał i jest pochowany tutaj. I tam naszym opiekunem był doktor Konarski. Doktor Konarski to jest pochodzenia żydowskiego z Polski. Jak on się tam dostał, bo w Polsce on skończył, we Lwowie, zdaje się szkołę, chciał się dostać na Uniwersytet. A ponieważ były ograniczenia w Polsce przed wojną, ile Żydów może na studia wstąpić i dla niego nie było miejsca. Więc on wyjechał z Polski do Włoch i tam właśnie medyczne... Widocznie rodzina była bogata. Medyczne te skończył. I podczas wojny oczywiście on nie poszedł do wojska, tylko jako medyk właśnie pomagał i był naszym kierownikiem tam w tym obozie

w Balachadi. Bardzo dobry człowiek. I tam też Pluta był, i też był taki kapucyn. Ja myślałam, że to diabeł, bo tak chodził... Tam gorąco przecież. Tak że potem... A jeszcze po drodze zapomniałam. Bo moja siostra, jak mamusia z Samarkandy wyjechała do Kiermene, tam, gdzie ojciec był, to po drodze siostra tak zachorowała, że ją wzięli do szpitala, a mojego starszego brata, to zapisała do junaków. O to chodzi, że ten brat w junakach zachorował na tyfus i leżał ileś tam tygodni w szpitalu, i później jak wyszedł, to już junacy wyjechali stamtąd i nie mieli co z nim robić, to wysłali go właśnie do Meszhedu. To samo z siostrą. Ze szpitala wyszła, nie wiedzieli, co z nią zrobić, to wysłali do Meszhedu do sierocińca, tak że w sierocińcu się wszyscy razem spotkaliśmy. Tak że właśnie... Ale podczas naszych... Nawet w każdym punkcie, gdziekolwiek byliśmy, byliśmy pod dobrą opieką Anglików. W Queccie to nawet nas na polo zapraszali. Te panie Angielki to specjalnie na herbatkę, na ciastka, na wycieczki nas brały. Naprawdę muszę z wdzięcznością powiedzieć, że najlepszą opiekę, jakąkolwiek mogli nam ofiarować. To samo w Indiach było. Nawet jedna nauczycielka nasza angielska to była Chinka. Nie wiem, jak ją zaangażowali, ale w każdym razie musiałyśmy się uczyć. Ciekawe było, po tym jak mamusia przyjechała do... Nie do Valivade najpierw. Do Malir. To jest koło Karachi. Teraz ten Karachi inaczej się nazywa. Karachi to był wojskowy obóz angielski. Ale wtedy już był pusty. Tak że te rodziny, które przyjeżdżały, zatrzymywały się w Malirze, w tym obozie, a potem już wyjeżdżali albo do Afryki, albo gdzieś indziej. Jak Żydów na przykład z miejsca zabierali do Palestyny i tam w Malirze też do Karachi chodziliśmy piechotą. Już było więcej wolności. I potem z Karachi pojechaliśmy do Valivade do Indii. To też pociągami przez te góry, przez ten cały kraj, który dla mnie wyglądał zawsze fascynująco. Bo widzi pani, jest różnica, jak moi rodzice do tego się dostosowywali i jak ja na to patrzyłam. Tak długo czy głód, czy cokolwiek, gdziekolwiek byliśmy, nawet w Samarkandzie, jak byliśmy i nic nie było do jedzenia, chodziliśmy zbierać lebiędę, bo to jedyna rzecz, którą mogliśmy jeść, ale mnie się wydawało, że tak długo jak z matką jesteśmy razem, to jest naturalnie. Ci ludzie tam mieszkali, to samo robili. Przecież oni ogródek mieli i co dostawali, co im kołchoz przeznaczył. Jak im chleba nie dali czy gdy kukurydzy nie dali, to oni też z głodu umierali. To ja się tak przyzwyczaiłam, że myślę, że tak ma być i mnie to wcale nie bolało, że ja byłam głodna. Tak że wie pani... Ale zawsze podziwiałam, jak ci ludzie mieszkali. Na przykład koło Samarkandy w tym kołchozie, to buda taka okrągła, ja nie wiem, jak to się nazywa. I to były robione albo z trzciny, albo z tej kukurydzy czy coś, w środku okrągłe, jakieś tam dywany mieli do spania i poduszki, na środku taki piec, w którym gotowali. To wszystko, co oni mieli. Tak że jak ja patrzyłam na to, mi się nawet nie wydawało, że my mamy mniej, bo myśmy to samo w tym tak samo żyli. Tak że jak chodzili ci ludzie boso, chodzili w jakichś szmatach czy w tym... Ja tego tak bardzo nie odcierpiałam ani tego głodu, ani tego poniżenia, tylko zawsze byłam zafascynowana, jak ludzie tam żyją. Na przykład w Indiach koło naszego obozu, bo myśmy mieli względnie luksus tam. Każdy już miał ten swój piec i żywność mogliśmy w sklepach kupować. Każdy z nas dostawał 43 rupii, tak? Krysio, 43 rupii na dorosłych. I zdaje się ileś tam na dziecko. To każdy z nas dostawał. I lokalni ludzie, hindusi już urządzili, wybudowali tam sklep i sprzedawali. Tak że myśmy tam swoje własne pokarmy przygotowywali. Chleb był, chleb hinduski, chleb zawsze był. Makagigi. To jest z kukurydzy i jakiś miód, coś słodkiego. To było smaczne. Już ptysie robili w Indiach. A w Indiach to było fantastyczne. Fantastyczna opieka. Oczywiście nasi ojcowie za to płacili. Ale naprawdę była już wygoda, tak że ja mam troszeczkę inne wspomnienia bo nie mam tego tragizmu takiego. Ja byłam zawsze zafascynowana wszystkim. Nawet w tym śniegu, idziemy w lesie, na Syberii jeszcze w świetłoskiej obłości i ten śnieg jest taki olbrzymi, wysoki i taki jakby rzeźbiony. Ja byłam tym zafascynowana. W lecie bardzo dużo rośnie grzybów. W lecie, na wiosnę te owoce. Poziomki czy... Poziomki, zdaje się. Potem jarzębiny tam było pełno, kwiatów było pełno. Tak że dzieciaki, ja nawet mam w świadectwie swoim, mój brat ma, że jestem odlicznica, bo ja po rusku uczyłam się

mówić. Tak że dla mnie była tragedia, widziałam, że ojciec i matka tak zafrasowani, ale dla mnie to było więcej, bo byliśmy razem, to najważniejsze było. Tak że tak, a potem jak przyjechaliśmy, oczywiście w 1947 roku przyjechałam do Anglii, żeby do ojca wrócić i w Anglii zrobili dla nas możliwość. Wszystkie dzieci, które nie skończyły szkoły, dostały stypendium, mogły kończyć. Nawet uniwersytety mogli kończyć. Mój ojciec zdecydował, że chce do Kanady, bo miał tutaj brata. A brat miał taką farmę mleczarnię, bo mleko dostawiał. W listopadzie przyjechaliśmy do Anglii, do Melton Mowbray, tam, gdzie Czesia była, czy że Krysia była, a w czerwcu już wyjechaliśmy do Anglii. On miał czworo dzieci. Mądry by był, to by został tam i dzieci mogłyby skończyć szkołę ale nie, on do Kanady, bo wszyscy mówili, że w Kanadzie jest dobrobyt. Co tutaj było w Kanadzie, wszyscy, co poprzyjeżdżali na kontrakty albo do lasu, albo na farmy, albo do kopalni. To samo, co w Rosji było. A mój ojciec jak przyjechał do brata na tę farmę, a nikt z nas nie chciał na farmie pracować, tak że jak najszybciej mogliśmy pojechać do miasta, uciec z tej farmy, to zrobiliśmy. Tylko co tutaj, w 1948 roku nie było żadnej pomocy. Jak człowiek nie miał tych dwa i pół centa na kawałek chleba, to nie dostał. To zmarł. Siedzieliśmy na stacji przez... Jak przyjechaliśmy do Winnipegu, tam na stacji przez jakieś cztery dni tak jak w Rosji czekaliśmy na tego wujka. I ani polskiej pomocy. Polaków wtedy nie było, nie przychodzili. Wie pani kto nas w Winnipegu wyratował? Żydzi. Bo oni mieli silną organizację w Winnipegu i codziennie ktoś z tych Żydów chodził po stacji i patrzył, czy ktoś przyjechał, czy nie. I oni właśnie zawiadomili wujka, i ten wujek po nas przyjechał. Tak że takie ciekawe, ja jestem niezmiernie wdzięczna Żydom. Bo nawet jak nie mogłam, wróciłam do Winnipegu, z tej farmy uciekłam, nie mogłam pracy dostać. Kto mi pomógł? Żydzi. Tak że ja jestem niezmiernie tym ludziom wdzięczna. To tak mniej więcej taka historia mojego życia. Moja siostra jest, bo tak, moja siostra wyjechała do południowej Afryki, bo w Bombaju wyszła za mąż, poznała jednego swojego męża, bo on był w armii południowoafrykańskiej w Burmie wtedy, w akcji w Burmie, i już jak się wojna zakończyła, bo ona była w Bombaju u jakiejś pani, pojechała po znajomości Polki, która tam mieszkała. I poznała, bo tam w klubie dla białych, dla Anglików poznała i wyszła za mąż, pojechała. Mówię: „Dziewczyno, ja bym się bała tak daleko jechać. Południowa Afryka?”. Tak że ona teraz ostatnio zmarła. Ale jak przyjechaliśmy do Kanady, ciężkie życie. Ale tak wracając, bo dzięki Bogu, że teraz mamy te wygody. Teraz mamy, co by było w Polsce, co by było? Często się zastanawiam. Nas było pięcioro na tej osadzie. Ta osada miała 19 hektarów ziemi. Czarnoziem, to bardzo dobrze, bo wszystko rosło. Ale jak moja siostra skończyła szóstą klasę, musiała iść do gimnazjum. Nie, nie. Cztery klasy, a potem musiała iść do piątej i szóstej, to ojciec musiał płacić. I ona musiała mieszkać w Kryłowie. To jest w Lubelszczyźnie, i ona musiała za to płacić, za szkołę i za jej mieszkanie. A nas było pięcioro. Czy jego było stać na to, żeby wykształcić pięcioro dzieci i żeby nam tam... Co by się z nami stało naprawdę, gdyby... Tak że ja na tę wojnę troszeczkę inaczej patrzę niż większość ludzi. Tragizm. Nawet we własnym kraju przecież jak jest jakaś powódź, to jest ten tragizm. Człowiek musi pocierpieć. Ale dzięki Bogu i dzięki, nie wiem, czy Bogu, czy dzięki właśnie temu rządowi polskiemu w Londynie, który naprawdę opiekował się bardzo dobrze. Tam były jakieś nieporozumienia między Churchilllem a Sikorskim i Sosnkowskim czy prezesem polskim. Ale jednak dbali o ludność we wszystkich obozach, czy w Afryce. Jest książka bardzo ciekawa napisana przez Lynne Taylor. Ona jest profesorem na uniwersytecie... Gdzie twój syn chodził na uniwersytet?

Głos: Waterloo.

Wanda Truska: W Waterloo ona była. To jest bardzo dobry uniwersytet. Jeden z najlepszych tutaj. W każdym razie ona napisała też książkę o tych ludziach w Afryce, tych dzieciach w Afryce. To ona też o Polakach, wszyscy się inte-

resują, bo teraz, jak swoje dokumenty robią, to ja książkę o Polakach z Indii, to tutaj Toronto uniwersytet, z profesorem Wróblem, Lynne. Mój syn jest na Master University. To tam ma tę książkę „Polacy w Indiach” w języku angielskim oczywiście. I chcę tutaj do wszystkich bibliotek rozdać, żeby młodzież się uczyła, bo jak piszą te swoje, te dokumenty czy coś, już tracę...

Zofia Kunert: Prace.

Wanda Truska: Prace, tak. To muszą mieć jakieś... I właśnie Tadek mówił, syn mój jeden, Pers, który był w Tadka dziale przez jakiś czas, pisał też pracę uniwersytecką na temat polityki w Polsce. Tak że, że książki te są bardzo, prawda...

Zofia Kunert: A proszę powiedzieć, czyli po wojnie pani dosyć szybko się zdecydowała na wyjazd z Anglii do Kanady.

Wanda Truska: Mój ojciec tak chciał. Bo ja bym wolała zostać w szkole i skończyć szkołę. Moje koleżanki, które pozostawały czy koledzy, wszyscy mieli szanse pokończyć szkołę i uniwersytety nasze, bo mojemu ojcowi się wydawało, że tu dobrobyt. To dobrze, przyjechaliśmy, tu dobrobyt, ale niczego nie... My na farmie nie chcieliśmy, żadne z nas. Tak że ja poszłam do miasta i zaczęłam od takich najniższych prac. Najpierw w szpitalu, bo ta Żydówka, pani Churchill się nazywa, już na pewno nie... załatwiła i ja wieczorami chodziłam na studia, kursy języka. Najpierw języka angielskiego, potem brałam różnego rodzaju wieczorami i też pracę zmieniałam, bo już najlepiej mi się podobała praca, to muszę powiedzieć tak szczerze, ale to nie musi być ogłoszone, bo ta pani załatwiła mi pracę, była restauracja, słynna restauracja Childs w Nowym Jorku i w Winnipegu była część taka sama.

Zofia Kunert: Filia.

Wanda Truska: Filia, tak. I tam właśnie ci bogaci ludzie i Żydzi, i wszyscy, tylko bogaci, bo biednych nie stać na to. Co ja robiłam tam? Ja pracowałam w barze. Tak że jak któryś sobie zamówił drinka, to ja z baru brałam i mówili mi do tamtego, bo ja jeszcze angielskiego nie znałam i właśnie donosiłam. I tak patrzyli na mnie, miałam wtedy 17 lat, tak jak powiedzenie tutaj jest: „Damn blonde”, głupia blondynka. Bo byłam blondynka, nie mówiłam dużo, tylko się uśmiechałam i każdy mnie tip dawał. Więcej zarobiłam na tym typie niż na... Tak że to były ciężkie czasy tutaj. Jak mówiłam przedtem, nasi młodzi przyjeżdżali, gdzie szli do pracy? Do lasu na kontrakty. Jeden z...

Zofia Kunert: Ale chodzi mi też o to, że rozumiem, że wtedy w ogóle nie wchodziło w grę, żeby wrócić do Polski.

Wanda Truska: Nie. Nie. Nie. Tym bardziej, że jeden z naszych znajomych, on jak pojechał do Polski, to był już, zdaje się, 1970 rok on swoją rodzinę chciał odwiedzić. I mówi, że tam strażak za nim chodził wszędzie. Tak że był ten strach powrócenia do Polski, żeby znowu z powrotem się nie znaleźć na Syberii. Chociaż na Syberii jest bardzo dużo Polaków, nawet teraz. I teraz jest dobrobyt tam na północy, to jest inna rzecz. Ale właśnie wtedy był taki strach, a szczególnie tak jest... Dość dużo kolegów i koleżanek, jak nie miało ojców albo braci w wojsku, to byli zmuszeni jechać do Polski. A ta właśnie historia, co Lynne Taylor pisała, to o tych dzieciach, które były w Afryce i ten ksiądz Królikowski, on tutaj przyjedzie już niedługo. W czerwcu ma przyjechać. On był odpowiedzialny za te dzieci, jak

okrętem przyjeżdżali, to mieli do Kanady przyjść i władze polskie zatrzymały ich w Rzymie tam i chcieli, żeby te dzieci koniecznie wróciły do Polski. A Królikowski jakoś z papieżem tak załatwił, że bez zawiadomienia pozwolili mu, żeby ten okręt odpłynął i tutaj właśnie te dzieci się znalazły. To też ciekawa historia, prawda? Ja pamiętam, pani Burak jak przyjeżdżała do naszego, w 1946 roku, z placówki dyplomatycznej w Bombaju, żeby namawiać wszystkich, żeby wracali do Polski. Tylko ja nie rozumiem, dlaczego. Przecież taki dobrobyt nie był w Polsce. Dlaczego oni koniecznie chcieli tych wszystkich ludzi widzieć w Polsce?

Zofia Kunert: Bo było mało ludzi po prostu. Może dlatego. A kiedy pani pierwszy raz do Polski pojechała?

Wanda Truska: W 1992 roku. I pojechałam tam do Kryłowa. To jest w lubelskim. To jest takie miasteczko, w 95% żydowskie. Ale dobry biznes prowadzili, dużo ich tam było i to jest po stronie... Z jednej strony Buga, z drugiej strony Buga właśnie to drzewo, które pamiętam w dzieciennych latach, to wszystkie dzieci chodziły, włożyły na tę wierzbę i skakały do wody. Obok tego, koło Kryłowa były ruiny zamku, tylko nigdy nie mogę znaleźć, jaki to zamek był. To ruiny były. I ciekawa rzecz, że tam takich dwóch staruszków, mężczyzn bezdomnych, oni tam w zimie mieszkali, taką balię mieli, bo jak widziałam, to oni po lodzie na tej balii jeździli, a po wodzie też na tej balii jeździli. Ale z tego miasteczka pozostała szkoła, bo była murowana szkoła. Ten kościół, już znowu zapomniałam nazwę tego kościoła, z XVI wieku i potem kościół, i taka tablica z tego marmuru, bo Żydzi chowali swoich na cmentarzu i takie marmurowe kładki zostawili. To zrobili taką tablicę, taki mur z tych marmurowych tych tabliczek, to zostało. I też na górze, tam górka była też, taki pagórek był, gdzie las był, i tam krzyż stoi i tablica. Tam właśnie Ukraińcy najwięcej wymordowali wszystkich policjantów, nauczycieli, kogokolwiek, Rosjanie nie zabrali, oni właśnie tam wszystkich wymordowali. A tych Żydów zabrali w tym pociągu koło Sobibora. Tam 300 tysięcy Żydów zdaje się, zginęło w tym. Tak że to jest wielka tragedia. I jeszcze budynek, gdzie jest stacja autobusowa, więc to wszystko zostało z tego miasteczka. A było takie żywe miasteczko i tam po lody zawsze przychodziliśmy, sprzedawać różne rzeczy. Tak że to jest taka tragedia, o której... 300 tysięcy ludzi to jest masa ludności, dzieci niewinnych i o której prawie nikt... Bo w Katyniu, to... Nie Katyniu, tylko mówię, w tym, o tych Żydach, to o Oświęcimiu to wszyscy wiedzą, ale tych Żydów tak wyniszczono i głodem, i... Dlatego nie mogę sobie... A Polska, to w 2008 roku byłyśmy, to jest taka wielka różnica, jak się rozbudowała, że naprawdę zachwycona, bo byliśmy i w Lublinie, i samochodem objeżdżaliśmy dookoła. Ale w Ukrainie w Ostrogu jest ksiądz Kowalów. On wydaje teraz takie pismo „Wołanie z Wołynia”. I pierwszy raz naprawdę byłam zaskoczona, bo teraz właśnie wyraźnie pisze i o Katyniu, i o tych mordach Ukraińców na Polakach. Tak dokładnie, tak że musi być tam dość dużo wolności i to jest bardzo ciekawy ten ksiądz Kowalów. Pytałam się jego, czy by pojechał na naszą osadę, żeby zobaczyć, co tam się dzieje. I on wyjechał dwa lata temu. Mówi, pojechał w zimie. I mówi: „Tam nic nie ma”. Bo to był czarnoziem. Bardzo dobra ziemia. Gleba. Ale po tym, jak Rosjanie zrobili ten kołchoz, potem jak ten kołchoz zniknął, tam nikt się nie sprowadził, nikt nie zagospodarował, ale się nazywa „Harna Ukraina” czy coś takiego po ukraińsku. Tak że mam przynajmniej tę satysfakcję, że tam, gdzie się urodziłam, to jest harne, piękne miejsce.